



Władysław Antoniewski.

Artysta nie tyle głośny, ile zasłużony około sceny polskiej, zwłaszcza prowincjonalnej.

Aktor prowincjonalny ze świadectwem maturalnym krakowskiej szkoły realnej (fenomen!) tuła się po Królestwie przez rok cały, poczem przybywa do Krakowa, dokąd sprowadził go Koźmian i powierzył mu dział amantów. Debiutuje jako Piotr w „Fedorze” z powodzeniem. Mimo to na zaproszenie Józefa Rychtera przenosi swoją walizkę teatralną do Poznania i bierze pierwszorzędną amantów. Stąd zabrał go w r. 1885 dyrektor Glickson do Krakowa, gdzie prócz poprzednich grywa role „charakterystyczne” i pełni urząd reżysera teatru krakowskiego do roku 1892. W tym roku poświęca się dla „idei” i ma szaloną odwagę objąć dyrekcję stałego teatru stanisławowskiego im. Al. hr. Fredry po smutnych doświadczeniach śp. Lucyana Kwiecińskiego, założyciela i dyrektora trzeciego teatru w Galicyi. Przez lat kilka walczy jak lew z nieprzewycięzoną apatią szanownej P. T. publiki, lecz twardy kark episyjski kochanej prowincjonalnej filistery, przenoszącej operetkę lub tyngel — nad sztukę — nie ugiął się. Jedyny dobry teatr prowincjonalny rozsypał się, a dyrektor zaciągnął się w szeregi lwowskich histryonów podówczas teatru skarbkowskiego, potem teatru miejskiego, gdzie przebywa po dziś dzień.

Antoniewski jest dziś prezesem Towarzystwa Bratniej Pomocy artystów, założycielem i duszą istniejącej od roku czytelnicy artystów teatru miejskiego i jednym z sekretarzy. Nadto jest — oczywiście — aktorem, a szkoda, że repertuar obecny układa się w ten sposób, że wielu pożytecznych a zdolnych artystów musi się stale pomijać, lub co najwyżej łątać nimi dziury... Kto widział Antoniewskiego w rolach tytułowych w dramatach „Winny”, „Wernyhora”, „Kazimierz Wielki i Estera”, kto widział jego Wurma w dramacie Szylera „Intryga i miłość” — ten pewnie żałuje, że tego artystę tak rzadko widać na scenie...

W roku zeszłym uległ wypadkowi. Podczas przedstawienia „Lilith” spadła mu tarcza na stopę, raniąc dotkliwie, skutkiem czego przez kilka miesięcy musiał pauzować... Od dni kilku wrócił na scenę.

W życiu codziennym wesoły kumpan, lokator kancelaryi Nr. 44 i gospodarz śniadańkowych zebrań w tejże kancelaryi, cieszy się stałym miem między kolegami i znajomymi... Nadto kobieciarz obcałowujący cicho wszystkie głośne piękności sceniczne (oczywiście kobiece), o których wiele mówią, że ich dziś tu tak mało, a które Władka lubią... no bo ktoby go nie lubiał... *Klewe.*

ZE ŚWIATA.

Poprzez granice i kordony! — Zmysł polityczny i dowcip w manifestach carskich. — Z życia artystycznego Paryża.

Z zakątka domowego ogniska, gdzie cicho i spokojnie i sielankowo upływa dzień za dniem, wy-

biega czasem myśl ludzka dalej ku innym krajom, gdzie życie codzienne płynie szerokim, wzburzonem i potężnem korytem. I sama z siebie powstaje w człowieku chęć i pragnienie odlotu, zetknięcia się z innymi ludźmi, poznania nowych stosunków i wydostania się na te niebosiężne szczyty, skąd można choćby przez chwilę popatrzeć na ten odmet, w którym ścierają się wszystkie prądy i wszystkie kierunki, pchające ludzkość naprzód i wstecz... naprzód.

W każdym człowieku może odruchowo rodzi się miłość kraju rodzinnego — i jeśli wzrokiem nie sięga ku tym olbrzymim przestrzeniom wszechświata, jeśli w swej piersi nie nosi płomiennej iskry zapалу Konrada, by chcieć w ramiona swe objąć całą ludzkość, to przynajmniej musi czuć i znać te tysiączne nici, wiążące go z całym narodem, ze społeczeństwem, którego jest członkiem — i w ważniejszych chwilach musi doznawać tych rozkosznych dreszczy radości i wesela, czy też wstrząsających nawet duszą prostaczka uczuć smutku i boleści, będących udziałem wszystkich.

I dziś, gdy wypadki polityczne żywiej niż kiedykolwiek, postępują naprzód, gdy u nas w kraju, w zaborze rosyjskim przebywają nasi bracia czasy gorętsze może od r. 1863, w duszach i piersiach wszystkich ludzi, którzy z naszym narodem nie tracili żywej łączności, musi odzywać się echo znanej nam zdawna pieśni: „Nie zginęła!” I mimo niektórych głosów, które mogły przypomnieć nam Targowicę — w dzisiejszej chwili, bardziej niż kiedykolwiek, dała się odczuć łączność narodu i zgodne wystąpienie tych wszystkich klas, które są żywe i które chcą walczyć, gdyż wierzą słowom poety, że „walka o wolność, gdy się raz zaczyna, z krwią ojców spada dziedzictwem na syna!” I zaczęli walkę o prawa wszyscy i chłopci i robotnicy i mieszczaństwo i inteligencja i wszyscy, którym zaślepienie nie wyżarło serca i świętego ognia zapalu z piersi!

W Krakowie, Lwowie i innych miastach młodzież zainicjowała składki na rzecz ofiar ruchu rewolucyjnego w Królestwie Polskiem. „Związek pomocy narodowej”, „Towarzystwo demokratyczne” zbierają pieniądze na rzecz pomocy dla młodzieży polskiej z Królestwa, która wskutek strejku i przesładowań będzie zmuszoną kończyć studia w Galicyi. Jest to wspaniały objaw solidarności i nikt nie wątpi, że pomoc Galicyan dla dzielnych Królewian będzie prawdziwie wydatną i hojną!

I tym razem myśl nasza wybiegła prawdziwie daleko i śmiało, bo aż po przez kordony i słupy graniczne!

U nas ludzie wogóle nie wiele zajmują się polityką! I słusznie! Bo i po co obciążać swe głowy pamiętaniem nazwisk wszystkich ministrów, a choćby prezydentów ministrów — którzy się zmieniają co miesiąc, co parę tygodni i — to pamiętaniem dat takich jeszcze, jak to, kiedy został wydany jaki manifest! A od manifestów — to się teraz roi! Myślicie, że tylko wysocy dygnitarze, ministrowie i cesarze wydają dziś manifesty! Nie — nawet zwykli chudopachołcy, którym przeznaczone jest dźwigać ciężkie jarzmo żywota w pocie swego czoła, odważają się pisać manifesty do narodów.

Ot — taki mizerny pop rosyjski, jak ten Gapon, który przed dwoma miesiącami jeszcze chciał na kolanach korzyć się przed władcą i panem Rosyi, przed cesarzem, którego potęgą olśniewała wszystkich małodusznych i groziła wszystkim, którzy tylko bać się umieli — dziś odważa się pisać manifesty do narodu rosyjskiego i to manifesty — może i bardzo mądre, ale zupełnie pozbawione dowcipu i lekkiego stylu, który uprzyjemniałby ich czytanie.

Bo — po co to takiemu popowi zabierać się do pisania manifestu?!, kiedy nie umie się stosować do nastroju chwili. Manifesty carskie, z którymi chciał biedny pop rywalizować, mają to do siebie, że przynajmniej nie nudzą, bo są dowcipne! Ot na przykład choćby ostatni manifest z dnia 3 marca. (Tę datę można sobie zapamiętać wyjątkowo ze względu na jej historyczne znaczenie w literaturze humorystycznej.) Po śmierci W. księcia Sergiusza usłyszeliśmy z ust carskich pocieszające słowa manifestu, który się tak zaczynał: „Podobało się boskiej opatrności, której drogi są niezbadane, zesłać na Rosyę ciężkie próby” i... zabrać z tego padołu moskiewskiego despota gubernatora!

Byłem oburzony, że z wysokości tronu naigrano się tak z wyroków opatrności, na której konto zapisano śmierć Sergiusza.

Myślałem przez chwilę, że to może moment pokory tak przebiega z tych dziwnych słów! Ale wkrótce przekonałem się, że to zupełnie co inne-

go, że to tylko stały refren wszystkich manifestów carskich, od Katarzyny II począwszy, która zaudała dumać, by się korzyć — a zaudała umiała wesoło żyć, by nie pozwolić sobie nawet w swych oficjalnych przemówieniach i ukazach na dowcip!

Gdy zamordowano jej męża, cara Piotra III — powiedziała Katarzyna w manifestie do ludu, że były to wyroki opatrności! Gdy jej syn, Paweł, zginął, uduszony szarfami, syn jego i następca, Aleksander I, idąc śladem Katarzyny, ogłosił poddanym, że „podobało się opatrności pozbawić życia naszego kochanego ojca i cara Pawła”.

Czemuż więc dziś mianoby zrywać z przeszłością? Chociaż „opatrnościowo” w Rosyi zaczyna się coś psuć i to na dobre — jednak sentencją życiową, znaną jeszcze Horacemu — winno być i dziś: „hej! użyjmy żywota” póki się da — no i nie tracimy animuszu i dobrego humoru, a dowcipem podtrzymujemy podszarpiane nerwy. Polityką niechaj się zajmuje rada ministrów — a na czołe carskim niech widnieje pogoda, bo w dzisiejszych czasach jeno dowcipem można łątać jeszcze dziury w szacie państwowej, kiedy innego środka się nie zna, lub znać nie chce.

Chciałbym już dać spokój tej polityce nudnej i której ludzie mają codziennie aż po uszy! Ale pisząc nawet o świecie artystycznym, trudno nie zawadzić o kwestye polityczne, kiedy z niemi związane jest dziś wszystko — nawet rozwój sztuki. Bo też paryski świat artystyczny nie może się otrząść z tego wielkiego szczęścia, jakie go spotkało, że rząd nowego prezydenta ministrów Rouviera powołał do życia nową instytucję: państwowy sekretariat sztuk pięknych! Ta łaska spadała tak niespodziewanie, że równocześnie strach ogarnął przed nią wszystkich.

Naczelnym kierownikiem sekretaryatu, Dujardin-Baumetz, człowiek uprzejmy i powszechnie szanowany, dokłada wszelkich starań, by to nagłe przerażenie artystów przemienić w pełną entuzjasmu radość i zadowolenie.

A jest to do przewidzenia, że swoim zachowaniem się, pełnem taktu i uchyłaniem czoła przed wszelkimi kierunkami, zyska sobie wkrótce uznanie i potrafi usunąć wszystkie kwasy i głosy niezadowolienia. Pan Dujardin-Baumetz poświęca się w prawdziwie wzruszający sposób swemu stanowisku. Nie ma ani jednej wystawy w Paryżu, któraby nie została otwarta bez niego i nie pod jego opiekunkami skrzydłami i wszędzie, gdzie tylko nadarza się sposobność kupienia dla państwa jakiegoś obrazu lub jakiejś rzeźby, nie omieszką się zjawić! Jego zapal i poświęcenie nie zna granic, a jego umysł wynajduje coraz to nowe środki przyjęcia sztuce z pomocą. Nowością są tak zwane przyjęcia wieczorowe, które będą mieć u niego miejsce. To też na gwałt odnawiają się salony w *Palais Royal*, które mają być przeznaczone na te wieczory artystyczne. Są sceptycy, którzy z ironią i niedowierzaniem spoglądają na te wysiłki stworzenia w Paryżu drugiego dworu Medyceuszów — ale większość artystów czeka cierpliwie, gdyż czas może najlepiej powiedzieć o wyniku tych usiłowań i poświęceń pana Dujardin-Baumetz.

Myśl stworzenia podobnych wieczorów artystycznych w Paryżu, jest już dość dawną i ogólnie za pożyteczną uznaną.

Przed niedawnym jeszcze czasem poważniejsze grono artystów podniosło publicznie, że największym brakiem w życiu artystycznym Paryża jest: brak ośrodka. Artyści żyją bez jakiegokolwiek kontaktu z sobą; jeden zna drugiego o tyle tylko, o ile z wystawy może poznać jego twórczość i talent.

A współżycie artystów z sobą wywarłoby z pewnością dodatni wpływ na rozwój sztuki, gdyż istniałaby jakakolwiek atmosfera artystyczna, którą w codziennym zgiełku życia wielkomiejskiego trudno spotkać. To też chodzi o stworzenie czegoś w rodzaju ogólnego klubu artystycznego, który ma nosić piękną nazwę: *Idea*.

Wkładki mają być tak minimalnie niskie, że nawet najuboższy będzie mógł do tego klubu należeć. Każdy artysta obcy, który do Paryża przyjedzie, będzie mógł wejść od razu w środowisko prawdziwie artystyczne, które umożliwi mu studia i da mu to, czego szukają ludzie, przyjeżdżający za granicę na naukę — możliwość zapoznania się ze wszystkimi kierunkami i prądami sztuki.

Nowej instytucji należy życzyć pomyślnego rozwoju i rozkwitu w jak najszybszym czasie.

Beta.